

zaryzykowałam i niczego nie żałuję

Jedna stworzyła pierwszy w Polsce prywatny teatr, druga zaczęła wszystko od nowa, w innym kraju. Decyzje życia i wielka niewiadoma. Czy było warto, czy się udało, opowiadają **KRYSTYNA JANDA** i **MAŁGORZATA ZAJĄCZKOWSKA**.

Krystyna Janda mówi, że stworzenie Teatru Polonia, a rok temu Och-Teatru to niewątpliwie największe ryzyko, jakie podjęła w swoim życiu. Ryzyko, które właściwie się nie kończy. W tak delikatnej materii jak teatr nie można po prostu spojrzeć na laurach i powiedzieć: „Teraz mogę się zająć tylko sobą”. – Satysfakcję, że te teatry są i działają, zabija wieczny niepokój: „Co dalej?”. Oba teatry mają ustalony profil artystyczny, styl grania i pracy, bogaty, różnorodny repertuar. Istniejemy i funkcjonujemy dzięki publiczności. To nie jest łatwe.

Małgorzata Zajączkowska po kilkunastu latach udanej kariery w Hollywood wróciła do Polski ku zdumieniu amerykańskich i polskich znajomych. To, że ryzyko okazało się większe, niż sądziła, przekonała się w Warszawie. Do dziś nie wie, co straciła, a co zyskała tym powrotem. – Nie wartościuję w ten sposób. Bardzo trudno odpowiedzieć jednoznacznie, bo życie nie jest czarno-białe. To gdybanie, a tego nie lubię. Widocznie tak musiało być.

Co innego myśleć o zmianie, co innego odważyć się na nią

Do Stanów Małgorzata trafiła przypadkiem. – W 1981 r., tuż przed ogłoszeniem stanu wojennego, pojechałam do Paryża odwiedzić przyjaciółkę Joasię Pacułę. Powrót był niemożliwy, wszyscy mi mówili: „Siedź, poczekaj, w Polsce itak teatry nie działają”. Spędziłam we Francji 2,5 roku. Tam



KRYSTYNA JANDA

Aktorka teatralna i filmowa, reżyserka, dyrektor Teatru Polonia w Warszawie. Jest mamą aktorki Marii Seweryn. Była żoną Edwarda Kłosińskiego. Ma z nim dwóch synów: Adama i Andrzeja. 18 grudnia skończyła 58 lat.

poznałam męża, Karola Steina, a on chciał jechać do Stanów. Zakochana, w ciąży, chciałam mieć rodzinę. To nie była decyzja świadoma typu: jadę do Ameryki, żeby tam grać i robić karierę.

Ale – jako Margaret Sophie Stein – zaczyna pracować w zawodzie i jej kariera się rozwija. Występuje na Broadwayu, gra w serialach, w świetnych produkcjach, m.in. u Woody'ego Allena, z takim gwiazdami kina, jak Glenn Close, Anjelica Huston, Christopher Walken. Film „Enemies” z jej udziałem jest nominowany do Oscara. – Nie miałam prawa narzekać. Ale było jedno „ale”. Mogłam grać tylko role z akcentem i coraz bardziej czułam się jak garbata siostra. Miałam dosyć sytuacji, że agent, producent

lub reżyser mówią: „Boże, gdyby nie akcent, to byłaby rola dla ciebie!”. Wiedziałam, że nawet mając uznanie, będę niepełnowartościowa w swoim zawodzie.

W Stanach Małgorzata się rozwodzi, sama wychowuje synka Marcela. – Kiedy uczyłam się roli lub wyjeżdżałam na zdjęcia, Marcelem opiekowała się babysitterka z Jamajki. Co prawda, miałam tam amerykańskich znajomych, od czasu do czasu przyjeżdżała moja mama, ale czułam się samotna. Dziecko, moje niebytności w domu: to z czasem stało się bardzo trudne.

Grudzień 1999 r. – Pewnego dnia, po 16 latach pracy i życia w Stanach, wstałam rano z jasnym postanowieniem: wracam do Polski. Pewne decyzje można

odwoływać, ale z niektórymi trzeba zostać. A ja byłam całkowicie pewna, że chcę wracać. Śmieszne, bo jeszcze w lipcu podpisałam w Ameryce umowę na komedię „Nieodparty urok”. W grudniu wróciłam do Polski i poleciałam do Stanów tylko po to, by nakręcić zdjęcia.

Jest rok 2003. Krystyna Janda podejmuje decyzję o odejściu z Teatru Powszechnego. – Z moimi pomysłami, energią i temperamentem twórczym od dawna nie mieściłam się w strukturach teatru zespołowego. W pewnym momencie grałam w pięciu teatrach warszawskich, produkowałam przedstawienia sama, od dawna także reżyserowałam – wspomina aktorka. Rok później razem z mężem Edwardem Kłosińskim i córką Marią Seweryn założyła Fundację na rzecz Kultury. – Początkowo myślałam o stworzeniu sali do grania małych form teatralnych, ale wypadki potoczyły się inaczej. Zaproponowano mi kupno dawnego kina Polonia, nabyliśmy tę nieruchomość i oddaliśmy Fundacji w użytkowanie. – Zaczął się remont. Polonia otworzyła się dla widzów w październiku 2005 r. dwiema premierami: „Stefcia Ćwiek w szponach życia” i monodramem Jandy „Ucho, gardło, nóż”. Sprawy z mieszcą na miesiąc zaczęły nabierać tempa.

Momenty zwątpienia były wliczone w ryzyko

Małgorzata uśmiecha się: – W Polsce przyjęto mnie z otwartymi ramionami, choć ludzie jednocześnie pukali się w głowę: „Po coś tu, dziewczyno, wróciła?”. Bo z racjonalnego punktu widzenia wydawało się to dziwne. Każdy oczekiwał, że za moim powrotem kryje się jakaś głęboko skrywana tajemnica. Miałam świadomość, że bardzo ryzykuję: jadę do Warszawy w niebyt. Młodszy widzowie zupełnie mnie nie znali, dla tych starszych jakbym już umarła. Wyjechałam z Polski w 1981 r., w wieku 25 lat, a wróciłam, mając 44. Prawie 19 lat spędziłam za granicą! W Warszawie miałam rodzinę, znałam miasto, ale i tak wszystko musiałam zaczynać od zera. Nie mam prawa jazdy, więc wynajęłam mieszkanie w Śródmieściu, blisko metra.

1. KRYSZYNA JANDA I MARIA SEWERYN

Matka i córka. Razem prowadzą scenę Och-Teatr. Skuteczne: przekonały władze miasta, by przystanek tramwajowy przy teatrze nazwać Och-Teatr.

2. AKTORKA I OPERATOR

Krystyna Janda uważa, że bez zaangażowania męża, Edwarda Kłosińskiego, Teatr Polonia nie powstałby.

Z przekonaniem, że jej kariera w Stanach jest atutem i „skoro pracowałam na Broadwayu, to tu wszystkie teatry stoją przede mną otworem”, zaczyna szukać w Warszawie pracy. Puka do drzwi stołecznych teatrów i... rozczarowuje się coraz bardziej. – Wszyscy tłumaczyli, że może kiedyś, że muszą mieć dla mnie odpowiednie role, co w normalnym języku znaczyło: „Nie ma dla ciebie miejsca”. Nie spodziewałam się tego. Byłam strasznie zawiedziona. Zastanawiałam się, co mogę zrobić. „Skoro zaryzykowałam, zamiast czekać, płakać i narzekać – weź sprawy w swoje ręce”, pomyślałam. I zaczęłam tłumaczyć sztukę „Kocham O’Keeffe”. Żeby pozostać blisko zawodu. Nie chciałam być czekającym w progu pieskiem. Znalazłam producenta, reżyserią zajął się Krzysztof Kolberger i grał ze mną. To ryzyko, które podjęłam, kosztowało mnie wiele miesięcy wchodzenia w polskie środowisko artystów – opowiada.

Po roku od powrotu do Polski otrzymuje od Janusza Zaorskiego rolę w programie telewizyjnym „Decyzja należy do ciebie”. Kiedy o sobie przypominała, Michał Kwieciński obsadza ją w serialu „Więzy krwi”. – Zaczęło się coś dziać. W tym czasie przetłumaczyłam książeczkę, na której podstawie razem z Glennem Close i Christopherem Walkenem nakręciliśmy 3-częściowy film „Rodzina Sary”.

Bywało naprawdę ciężko. – Na castingu do małej roli w serialu reżyser kazał mi stanąć przed kamerą i na trzy sposoby opowiedzieć o sobie. Potraktował mnie jak kompletną nowicjuszkę w zawodzie! Zastanawiałam się, czy wałnąć go i wyjść, czy najpierw wykonać ćwiczenie i dopiero wyjść. „Ty dupku, pokażę ci, jak to potrafisz zrobić”, pomyślałam. Zagrałam i wyszłam. A potem poczułam się, jakby ktoś uderzył mnie w żołądek. I przypominałam sobie babcię. Ona mawiała: „Małgosiu, pamiętaj, nie każdy może cię obrazić”.

Marcelowi Polska się nie podobała. – Miał 13 lat, gdy przyjechaliśmy. Trudny wiek, a on ciężko się aklimatyzował. Tęsknił za Stanami, za przyjaciółmi. Dla mnie to był powrót do domu, dla niego – banicja. Ale wiedziałam też, że tu, w Polsce, będzie miał życie rodzinne, zdobędzie „kręgosłup”. Kaleczył polski, ale rozumiał. By ułatwić start synowi, zapisałam go do szkoły polsko-amerykańskiej. Akurat trafił na lekcje geografii. Była kartkówka. Jedno z pytań: jaka jest różnica między stalagmitem a stalaktytem. W ogóle nie wiedział, co to jest! Ale napisał: „Pan Bóg tworzy ich” – Małgorzata śmieje się serdecznie. – Pomyślałam: „Nie poddaje się to moje dziecko”. Jednak do czasu, kiedy zdecydował, że zostanie w Polsce do matury, robił mi straszne wyrzuty. Ale te wszystkie problemy to było ryzyko wliczone



PATRZĘ DO PRZODU.
Nie zastanawiam się,
co by było, gdybym zosta-
ła w Stanach. Są ludzie,
którzy żyją dniem wczoro-
rzejszym. Ja tak nie chcę.
Małgorzata Zajczkowska



w moje postanowienie powrotu do Polski. Jestem uparta. Podejmowałam decyzje za siebie i za syna. Sama jestem z rozbitego domu, wiedziałam, że nie mogę mu robić wody z mózgu, i wiele spraw musiałam szybko poukładać.

Krystyna Janda od początku zdawała sobie sprawę z zagrożenia i ryzyka, jakie niesie prowadzenie prywatnego teatru. – Pracuję na scenie 35 lat, znam teatr od podszewki. Nie robiłam więc niczego, o czym nie miałabym pojęcia. I nie byłam sama. Tak też zostało. Dziś dookoła mnie jest naprawdę bardzo dużo ludzi. Robią ze mną teatr z równym entuzjazmem i poświęceniem, jakie mam ja. Polonia ma dyrektora, doświadczonego człowieka, który lata pracował w dużych placówkach państwowych.

MAŁGORZATA ZAJCZKOWSKA

Warszawianka.
W styczniu obchodzić będzie 55. urodziny.
Aktorka, pisarka i tłumaczka.
Była w zespole Adama Hanuszkiewicza w Teatrze Narodowym. Tuż przed stanem wojennym w 1981 r. wyjechała do Francji, potem do USA. Ma dorosłego syna Marcela.

– Aktorka mówi, że nie przypomina sobie, by ktoś odradzał jej pomysł utworzenia własnego teatru. – W ogóle nie wiem, co mówiło środowisko. Najbliżsi, mama i mąż, martwili się tylko o moje siły fizyczne. Reszta nas nie zajmowała, wierzyliśmy, że nawet jeśli się nie uda, to próba podjęcia tego ryzyka ma sens.

Dotacje z miasta, urzędów były kroplą w morzu potrzeb. Z mężem mieli dom warszawski i duży dom rodzinny w Milanówku. Ten warszawski sprzedali, by mieć część funduszy na zakup budynku kina. Nigdy nie błagała o pomoc sponsorów, urzędników. – Wolałam wyjść na scenę i grać nawet kilka razy dziennie lub wyjeżdżać w Polskę, by zarabiać. Dziś nasze sceny utrzymują się i produkują spektakle tylko w 10 procentach ze środków uzyskanych z Biura Teatrów Miasta, Ministerstwa Kultury i pieniędzy sponsorów. Działamy, produkujemy i gramy nowe tytuły w 90 procentach za pieniądze ze sprzedaży biletów.

Pierwszy, najcięższy okres ma już za sobą. Jaką cenę zapłaciła za Polonię? – Oszczędności własne, nerwy,





zdrowie, brak czasu dla bliskich, dla domu – kwituje. – Cóż z tego? Mogłabym o tym czasie opowiadać godzinami, ale nad tymi wspomnieniami dominuje uczucie wpadania w czarną otchłań, ściśniętego gardła, nieprzespanych nocy i poczucie zagrożenia. Między innymi przez konflikt ze wspólnotą mieszkaniową na ul. Pięknej, gdzie stoi budynek Polonii. Incydentów było wiele, ale nie chcę do tego wracać. Do dziś stosunki są dość napięte. Przez wspólnotę i jej protesty nie udało się nam zbudować dla naszych widzów szklanego korytarza łączącego kasę z wejściem głównym. Zresztą wydarzyło się tam i wydarza wiele spraw nie do pojęcia. To wszystko jest bardzo

MAŁGORZATA ZAJĄCZKOWSKA mówi o sobie: rzykantka. Wróciła do kraju po 19 latach, jako dojrzała aktorka. Tłumaczy i wystawia sztuki, choć nie ma na nie pieniędzy.

trudne. Niektórzy ludzie, niechętni zmianom, sfrustrowani, niezadowoleni z nowej Polski, blokują inicjatywy, bo dostali takie prawa. Było także wiele zabawnych momentów, lecz giną one w pamięci koszmaru tamtego okresu. Jedno trzeba powiedzieć dobitnie: ten teatr zbudował mój niezjący dziś mąż Edward Kłosiński i do końca, do ostatnich chwil poświęcał mu cały czas, emocje i wiedzę. Problemów było wiele, ale wszystkie one zbladły, kiedy zaczęliśmy pierwsze próby. Pamiętam, byliśmy wtedy w połowie remontu, a ja poczułam, że to, co robimy, ma sens. Bo to był mój świat, moje terytorium. Koszty nie grały roli... – mówi z pasją Krystyna Janda. – To był też czas wielkich niewiadomych. Pierwsze dwie premiery (miały miejsce w odstępie dwóch tygodni): „Stefcia Ćwiek...” – od razu stała się sukcesem, i „Ucho, gardło, nóż” – monodram, uznawany za moje najlepsze osiągnięcie aktorskie. To wynagrodziło lęki, nieprzespane noce początkowych miesięcy działalności teatru. No i przede wszystkim od razu poczuliśmy przychyłność publiczności.

Bywały i gorsze chwile, gdy myślała: „To chyba był błąd”. – Jednak te momenty zwątpienia mijały zawsze, kiedy szłam na próby do nowych spektakli lub gdy stałam na scenie i grałam. Albo siedziałam na widowni. Dziś, po sześciu latach istnienia Fundacji, pięciu istnienia Teatru Polonia, to potężna instytucja, z dwiema scenami, bogatym repertuarem. Mamy ponad 30 tytułów, ja sama gram w pięciu.

16 stycznia 2010 r. Fundacja Jandy otwiera drugi teatr: Och-Teatr. – Decyzja o uruchomieniu nowej sceny wzięła się z biedy. Utrzymujemy się z biletów, opłacalność Teatru zaczyna się od 600 miejsc na widowni. Polonia ma ich tylko 270. Dlatego często gramy dwa razy dziennie. Z latami apetyty widzów rosną, mamy coraz więcej wieloobsadowych przedstawień, bogate dekoracje, kostiumy. Produkcje kosztują naprawdę dużo: od 100 do 300 tys. zł. Zamawiamy tłumaczenia, kupujemy teksty, płacimy drogie tantiemy, mamy spektakle z muzykami grającymi na żywo, musimy mieć więcej miejsc do sprzedania. Niestety, Och-Teatr, mający siedzibę w dawnym kinie Ochota, pochłania bardzo dużo pieniędzy, budynek był zdewastowany, zżerają nas wieczne remonty. Do tego jest bardzo drogi w utrzymaniu: wynajem, podatki i eksploatacja. Na razie powstała nowa, interesująca sala, świetny budynek na teatr, a może kiedyś, kiedy skończy się inwestowanie w niego, rzeczywiście przyniesie nam większe zarobki, a co za tym idzie – pozwoli trochę odetchnąć – opowiada Krystyna Janda.

Dziś bilans wyszedł na plus

Od powrotu Małgorzaty Zajączkowskiej do Polski minęło już 10 lat. Aktorka okrzepla, sporo występuje, tłumaczy, pisze scenariusze. – Grałam w „Złotopolskich” i u Jerzego Stuhra w „Pogodzie na jutro”, w „Żółtym szaliku” Janusza Morgersterna. Mam rolę w „Na dobre i na złe”, gościnnie pojawia się w „Ojcu Mateuszu”. Skończyłam zdjęcia do serialu „Chichot losu” w reżyserii Macieja Dej-



czera. Gram też w spektaklach teatralnych: np. w „Kobiecie w sytuacji krytycznej”. Czytam, a jeśli rola mi się podoba, chcę ją zagrać. Niedawno wyprodukowałam sztukę Esther Vilar „Matematyka miłości”. Graliśmy ją w Teatrze Buffo w Warszawie, a teraz jeździmy z nią po Polsce – wylicza aktorka. – Z natury jestem ryzykantką: bo wróciłam do kraju, bo przetłumaczyłam sztukę, nie mając pieniędzy na jej wystawienie. W całym swoim życiu na etacie byłam przez półtora roku, kiedy pracowałam u Adama Hanuszkiewicza w Teatrze Narodowym – jeszcze przed wyjazdem do Stanów. Właściwie od 30 lat jestem kamikadze! – śmieje się. – Nigdy nie wiem, czy te ostatnio zarobione pieniądze, to są rzeczywiście „te ostatnie”. Moja siostra, osoba niesłychanie poukładana, stwierdziła, że gdyby żyła jak ja przez pół roku, dostałaby zawału. A ja, dla odmiany, rozchorowałabym się, gdybym musiała siedzieć przy biurku!

Liczy się z tym, że pewnego dnia telefon może przestać dzwonić. – Co bym wtedy robiła? A recytowałabym wiersze po szkołach! Wróciłabym do uczenia, bo już to robiłam w Akademii Teatralnej i w Studium przy Teatrze Żydowskim. Uczylałam też w Stanach. Bardzo to lubiłam. A może znów muszę wyciągnąć rękę do losu i napisać scenariusz? – zastanawia się Małgorzata.

Kreatywność, optymizm, zbieg okoliczności, życzliwość ludzi – to jej pomogło ponownie zaistnieć w Polsce. – Jestem silną osobą. Ameryka dużo mi dała. Gdy w Paryżu pytano mnie, skąd jestem, czułam się „tą obcą”. W Nowym Jorku to samo pytanie oznacza ciekawość i życzliwość pytających. A gdy jeszcze słyszeli, że przyjechałam z Polski, zaczynałam od zera i tyle osiągnęłam, czułam, że myślą o mnie: „Co za fajna osoba! To jest ktoś, komu warto poświęcić trochę czasu”. Tam przekonałam się, że z biadolenia nic dobrego się nie bierze. I nawet jeśli nim kogoś ujmemy, to jest to numer na raz. Kiedy ma się 20 lat, może to nawet wyglądać wdzięcznie, ale gdy ma się 50 – jest żałosne. Każdy ma prawo do załamania, jeśli przechodzi to w stan permanenty, zniechęca do nas ludzi.

Nie płacze za Nowym Jorkiem, bo wie, że zawsze może wsiąść w samolot. To miasto jest jej drugim domem. Aktorka pokazuje w komórce zdjęcie młodego mężczy-

1. Z GLENN CLOSE
Małgorzata spotkała się na planie filmu „Rodzina Sary”.

2. WROGOWIE
film na podstawie opowiadania I.B. Singera był nominowany do Oscara. Razem z Małgorzatą zagrała w nim Anjelica Huston.

3. MAŁGORZATA ZAJĄCZKOWSKA
w Nowym Jorku z kilkuletnim wtedy synem Marcelem.

zny w odświętnym mundurze. – Marcel – uśmiecha się z radością i dumą. – Wybrał Stany. Wrócił tam kilka dni po maturze. Dziś służy w *marines*.

Małgorzata patrzy do przodu, nie kalkuluje: „A co by było, gdybym została w Stanach?”. – Są ludzie, którzy żyją dniem wczorajszym. Ja tak nie chcę. Z tego nic dobrego nie wynika, tylko traci się energię, entuzjazm.

Teatr Krystyny Jandy dopracował się różnorodnego repertuaru, ze wspaniałymi rolami aktorów warszawskich i przyjeżdżających z całej Polski, aby pracować „u Jandy”. – Sukcesy? Jest ich dużo, ale niepoważne byłoby wymienić i sukcesy, i porażki z imienia, bo za dużo tu ambicji, uczuć, łez wylanych – artystka jest ostrożna. – Teatr to przedziwne miejsce, tu się sprzedaje nie bilety, a emocje, tu nic nie jest jednoznaczne, tu się ma do czynienia z wrażliwością ludzką stojącą często na granicy normy poza tym światem. Nie można być niedelikatnym. Polonia przez te pięć lat nabrała charakteru, zdobyła widzów, dla których stała się partnerem życiowym. Jedno jest pewne: entuzjazm, energia, wiara pozostały. Tylko histerie są rzadsze i mniej ekspresyjne. Katastrofy wydają się łagodniejsze. Niejedno tu przeżyliśmy wspólnie. Ale dalej każdy dzień to batalia, bitwa, której strategię łatwiej nam teraz, po pięciu latach, układać.

Oczywiście budowa teatru zmieniła ją. – Kiedyś myślałam tylko o swoich interesach zawodowych, o moim rozwoju, satysfakcji osobistej, a teraz myślę o wielu innych ludziach, aktorach, współpracownikach. I szczerze mówiąc, cieszę się z ich sukcesów, bo one wpływają na sukces teatrów. A siebie, swoje interesy poświęcam często dla dobra całości. Teraz głównie się cieszę, kiedy wyjdzie praca któremuś z zaangażowanych przeze mnie reżyserów, aktorów, scenografów. Dlatego też nie mogę poddać się przeciwnościom losu. W tej chwili odpowiadam za wielu ludzi. Potwornie dużo pracuję.

A gdyby teatr okazał się klapą? – Nic by się nie stało. Grałabym zawsze. Może miałabym trochę więcej pieniędzy – śmieje się. ●

TEKST: IDA DAWIDOWICZ
anna.dmowska@guj.pl